Opłata pocztowa uiszczona gotówką
Cena egzempl. 30 gr

KUŹNICA

SPRAWY NARODOWE SPOŁECZNE I KULTURALNE
DWUTYGODNIK

NR. 19 (41) KATOWICE, 1-15 PAŹDZIERNIK 1937 R. ROK II

Kolejność zadań

Ostatnie wypadki w Małopolsce mają swoje głębokie podłoże. Tłumaczyć je nasileniem propagandy politycznej, działalnością czynników wywrotowych, byłoby grubym uproszczaniem sobie sprawy. Wypadki te mają jako swoją zasadniczą przyczynę obecne położenie gospodarcze wsi i jej sytuację ludnościową. Nie wdając się w analizę tych przyczyn, które do obecnego stanu doprowadziły należy stwierdzić, że sytuacja gospodarcza wsi jest podstawą, na której musi się oprzeć wszelkie rozważania i programy gospodarcze.

Są kraje bogate i biedne, kraje uprzemysłowione o wielkich zasobach kapitałowych i kraje mało uprzemysłowione, o małych zasobach kapitałowych. Niewątpliwie należymy do tej drugiej kategorii? Co z tego wynika? Wynika stąd ten prosty fakt, że uprzemysłowienie i w ogóle wszelka kapitalizacja są u nas nakazem bezwzględnym, który za wszelką cenę musi być zrealizowany, wynika stąd i to, że wobec małych kapitałów będzie nam to szło o wiele trudniej, aniżeli by to miało miejsce w krajach bogatych. Łatwiej bowiem oszczędzać temu, który ma wielkie dochody, niż temu, który nie może związać końca z końcem. Taki człowiek nie tylko, że oszczędza z nadzwyczajnym wysiłkiem, ale na pewnej granicy przestaje w ogóle oszczędzać a nawet zaczyna się zadłużać. Jesteśmy właśnie w położeniu owego biednego człowieka, który ledwie wiąże koniec z końcem a jednak musi oszczędzać. Bo kapitalizacja to nic innego tylko oszczędność, to rezygnacja z konsumpcji na rzecz konsumpcji przyszłej, której podstawy stworzą nowe warsztaty produkcji.

Nasz przyrost ludności, który wykreśla wieś, posuwa się o wiele szybciej naprzód od wzrostu naszego majątku narodowego. Zatem na głowę przypada coraz to mniej dóbr, jednym słowem ubożejemy. Ze wzrastającym ubóstwem maleją wprost proporcjonalnie nasze zdolności kapitalizacji i oszczędzania. Coraz to więcej tego, co wytwarzamy, musimy zjeść, coraz to mniej możemy odłożyć na jutro. Tymczasem abyśmy mogli spełnić te wszystkie zadania, jakie nam wytycza nasza rola dziejowa, musimy być bogaci. Musimy być bogaci nie w sensie zamożności przeciętnego obywatela, który by posiadał maksimum dóbr konsumpcyjnych do swego prywatnego użytku — do takiego stanu jeszcze bardzo daleko — ale w tym sensie, że musimy posiadać taką ilość warsztatów pracy, która by dała pracę obecnie zdolnym do niej i minimum egzystencji i zapewniała taki przyrost dalszych warsztatów pracy, którby był w stanie dorównać przyrostowi zdolnych do pracy obywateli. I do tego stanu jest nam jeszcze bardzo daleko. Nasze bezrobocie miejskie jest stosunkowo małe, może być wchłonięte przez dobrą koniunkturę do tego stopnia, że jako zagadnienie nie jest niepokojącym i ciężkim do zgryzienia orzechem. Moglibyśmy je nawet nazwać bezrobociem koniunkturalnym. Jest jednak inny rodzaj bezrobocia o wiele groźniejszy. Jest to bezrobocie polskiej wsi, nasilające się coraz poważniej młodym pokoleniom przychodzącym po pracę i nie znajdującym jej. Jak rozładować to bezrobocie, jak znaleźć upust tym niewykorzystanym a olbrzymim rezerwoarom polskiej energii? Jest przecież bezrobotna np. rodzina chłopska, składająca się z pięciorga ludzi, osiadła i gospodarująca na jednej mordze ziemi. Ilość dni pracy, potrzebnych do obrobienia takiego gospodarstwa nie przenosi 80 do 100 dni. Reszta przepada całkowicie mimo, że rodzina chłopska przez tą resztę dni konsumuje tak samo jak przez dni przepracowane. Ile milionów dni pracy tracimy przez to rocznie? Ile milionów złotych tracimy rocznie, jak byśmy te dni stracone chcieli obliczyć na pieniądze? Cyfry nie są tu decydujące, tu idzie o faktyczny stan rzeczy, o rozwiązanie pytania jak znaleźć wyjście z obecnej sytuacji.

Bezrobocie wsi, ukryte, nie rzucające się tak w oczy jak kompletne nieróbstwo bezrobotnego, pozbawionego pracy w mieście robotnika, jest złączone z obecnym ustrojem gospodarczym państwa i jest nieodłączne od obecnej sytuacji wsi. Słowem bezrobocie strukturalne. Reforma rolna, potrzebna i konieczna jest tylko drobnym zastrzykiem. Jeżeli oprócz niej nie zdobędziemy się na wielkie decyzje, sama reforma utonie rychło w powodzi nowych, zbędnych rąk i niezaspokojonych żołądków chłopskich.

Idzie nam tu o problemy gospodarcze. Odrębną stronę tego zagadnienia, żydowską, pomijamy jako omawianą przez nas często na łamach „Kuźnicy" w specjalnych artykułach. Tu tylko jedno wypada zaznaczyć. Żywiołowy pęd chłopa do miasta, chłopski stragan jest zaczątkiem rodzącego się przezeń polszczenia miast i powstawania z warstwy chłopskiej trzeciego stanu. Problem wytworzenia rodzimego handlu jest stosunkowo najprostszym i najwięcej w tym kierunku już jest zrobione. Kasy bezprocentowe, spółdzielczość, organizowanie bojkotów żydowskich sklepów i straganów, wszystko to wskazuje, że tu jesteśmy na dobrej drodze. Tak. Ale to nie rozwiązuje podstawowego zagadnienia odciążenia polskiej wsi z nadmiaru ludności i stworzenia nowych warsztatów pracy. Cała nasza polityka gospodarcza winna być nastawiona na rozwiązanie tego problemu. W związku z tym musi być zastosowany taki dobór środków, który by to zadanie zrealizować potrafił.

Trzeba nam stworzyć nowe warsztaty pracy. Trzeba kapitalizować. Jakimi drogami ma pójść ta kapitalizacja, jakimi środkami wznosić nowe warsztaty pracy? Sprawa ta w państwach bogatych nie nastręcza takich trudności jak w ubogich. W państwie zasobnym w kapitały finansowanie produkcji i inwestycje realizuje się drogą wykorzystania istniejących już środków kapitałowych. Nagromadzone już oszczędności pieniężne lub rzeczowe obraca się po prostu na zakładanie nowych warsztatów pracy. Oszczędności te w małym stopniu byłyby zużyte na cele konsumpcyjne lub też były obrócone na konsumpcję artykułów nie pierwszej potrzeby. Obrócenia tych środków na cele produkcyjne kosztem konsumpcji nie byłoby dla obywateli zbyt dotkliwe. Inaczej ma się rzecz w państwie ubogim. Kapitały pieniężne i rzeczowe w małej ilości są zaoszczędzone. Wobec ich braku wielka ilość dochodów musi być obrócona na bezpośrednie spożycie, na zaspokojenie potrzeb niezbędnych a minimalna tylko ilość może być obrócona na rozbudowę i zakładanie nowych warsztatów pracy.

Nasz dochód z majątku narodowego jest tak mały, że zjadamy go prawie całkowicie i odkładając bardzo mało, bynajmniej nie jesteśmy syci. Tym czasem sytuacja wymaga kategorycznie szybkiej rozbudowy gospodarczej. Jeżeli przyrost majątku narodowego postępował będzie w tym samym tempie przyśpieszonym i będziemy coraz biedniejsi, coraz to mniej zdolni do stworzenia potęgi gospodarczej a więc i politycznej. Z drugiej jednak strony znajdujemy się prawie na granicy naszych zdolności oszczędzania. O obliczu gospodarczym Polski decyduje oblicze gospodarcze wsi. Tymczasem chłop znajduje się właściwie poniżej granicy oszczędzania. Chłop nie może mniej jeść, bo już nie dojada. Nie może się mniej ubierać, bo już jest nieubrany a tu trzeba melioracyj, komasacyj, nowych fabryk i warsztatów. Jeżelibyśmy chcieli odrazu przystąpić do wielkiej i szybkiej rozbudowy gospodarczej moglibyśmy to uczynić dwiema drogami. Albo drogą finansowania inwestycyj przez wypuszczanie nowych seryj pieniądza — wówczas podrożałyby wszystkie artykuły bezpośredniego spożycia, spadłaby siła kupna obywatela i w ten sposób przez odebranie mu części siły nabywczej artykułów pierwszej potrzeby odebralibyśmy mu część oszczędności, względnie zmusilibyśmy go do dodatkowego oszczędzania, które zostałoby obrócone na budowę nowych warsztatów pracy — albo drogą bezpośredniego zakazu spożywania, jak to ma miej-

(Dokończenie na str. 2-ej)

Sygnał

Nie wolno pominąć milczeniem wypadków dni ostatnich. Nie wolno być wobec nich obojętny. W Krakowie bandyta żyd morduje polskich policjantów. W Bielsku żyd morduje Polaka. Równocześnie w czasie, kiedy panoszy się u nas naród obcy, kiedy zagarnia nasz majątek narodowy, łamie prawo i przegryza nasz kręgosłup moralny jadem obcej kultury i wrogiej nam idei, na widowni naszego życia politycznego pojawił się krwawy trup chłopa.

Jest silny między tymi zjawiskami związek.

Chłop polski osaczony zgrają żydowskich pośredników i handlarzy, obdarty przez nich z owoców swej pracy i zatruwany systematycznie, fizycznie i duchowo, w swej niewiedzy wszedł na fałszywą drogę walki.

Wypadki te sygnalizują nam wysoką temperaturę naszego organizmu politycznego. Napięcie musi ulec rozładowaniu, siły, które dziś się zdzierają we wzajemnych zmaganiach muszą być zjednoczone za wszelką cenę. To musi zrozumieć każdy Polak. Musi się zdobyć na maksimum dobrej woli, na maksimum poświęcenia swych własnych celów, na maksimum dyscypliny. Jeżeli dalej pójdziemy dotychczasowymi drogami własnych prywatnych celów, własnych grupowych interesów, własnych prywatnych wygodnych światopoglądów, dom nasz stoczy żydowski czerw, fundamenty podkopie wróg zewnętrzny marksizm i rasizm a polska miedza i polski bruk zaczerwienieć się mogą krwią chłopa i robotnika polskiego.

Fakty krwawe i wstrząsające narastają lawiną. Coraz ich więcej i coraz to większy ich rozmiar. Ktoś inny zaczyna gospodarzyć w naszym państwie. Nasza struktura gospodarcza nie wypływa z naszych polskich potrzeb i nie jest wytworem naszej psychiki. Nasza kultura zaczyna coraz to mocniej przesiąkać obcym duchem. Ideologia materializmu i zysku doprowadza do napięć i walk klasowych, do przewagi i wyzysku jednej warstwy nad drugą. Rezultaty tego nie dadzą na siebie długo czekać. Jeżeli na chłopskiej drodze do miasta, obok żyda stanie polski policjant, to pod Racławicami wyłoniły się przednie straże marksistowskiego wroga.

W ogniu i gorączce wkroczyć możemy łatwo na fałszywą drogę akcji bezpośredniej, aktów doraźnych, nie tylko nie wyładowując napiętych antagonizmów, przeciwnie zaogniając je.

Dziś trzeba nam zespolenia wszystkich sił narodowych.

Dziś trzeba nam planowego organizowania tych sił do walki zorganizowanej, obliczonej na czas długi, systematycznej, nieprzerwanej, dzień za dniem i noc za nocą, do ostatecznego zwycięstwa. Przestańmy się kłócić kto się lepiej nadaje do walki ze wspólnym wrogiem. Nie czas już na dyskusje o konsolidacji, na pertraktacje i traktaty międzypartyjne. Czas już ostatni na Polskę Narodową i społecznie sprawiedliwą, na Polskę ładu i bezwzględnej walki z żydowstwem i tą resztą, która od żydowstwa pochodzi.

*

Naszym zdaniem

POLICJA I REDAKTOR.

Związek Młodej Polski, który na Śląsku rozpoczął ożywioną działalność, zamierzał zorganizować w Katowicach wiec protestacyjny przeciwko żydom i Niemcom. Do wiecu jednak w ostatniej chwili nie dopuściły czynniki administracyjne a rozlepione już afisze i ulotki zostały skonfiskowane. Ponieważ wszystko już było do wiecu przygotowane, przed salą powstańców w Katowicach zgromadziły się tłumy, które policja wezwała do rozejścia się a jeden z przybyłych został nawet poturbowany. Niedoszli uczestnicy zabronionego wiecu rozeszli się spokojnie, wykazując wielkie zdyscyplinowanie. Niewątpliwie wiec byłby się odbył spokojnie i bez zaburzeń. W przeddzień mającego się odbyć wiecu rozlepiających afisze członków Młodej Polski policja zatrzymała na komisariacie. To samo spotkało jednego z członków Młodej Polski w Rudzie Śląskiej, którego policja rano zbudziła i który po przesłuchaniu na komisariacie został odprowadzony do aresztu, skąd w godzinach popołudniowych został zwolniony.

Fakty te są wprost nie do wytłumaczenia. Działalność Związku Młodej Polski obracała się ściśle w granicach legalnych i trudno wprost pojąć, dlaczego policja i pan dyrektor nie pozwalają urządzać wiecu protestacyjnego przeciwko ostatnim wypadkom w Niemczech i postępowaniu żydów w Polsce. W naszym własnym państwie nie my jesteśmy chronieni tylko obcy. Rozwydrzone żydostwo napada na Polaków, morduje ich a potem jeszcze policja ich chroni a delegacje żydowskie udają się do premiera, że im się krzywda dzieje. Jak tak dalej pójdzie, to my będziemy mniejszością. Tym bardziej, że wielu jest takich, którzy walkę z żydowstwem i Niemcami pojmują w sposób staropolski i oryginalny jak np. pan redaktor „Polonii" Tabaczyński, który członków Młodej Polski przyjął na korytarzu i oświadczył, że „Polonia" walczy z żydowstwem na swoim odcinku a komunikatu nie może umieścić „ze względów ogólnych". — Nie wiemy, co pan Tabaczyński rozumie przez względy ogólne, może ogłoszenia w „Polonii", może Ozon, który z tym nie miał nic wspólnego, dość na tym, że te widocznie bardzo ważne względy ogólne kazały się „Polonii" tak sympatycznie ustosunkować do walki Z. M. P. z żydami. Komu takim postępowaniem pan redaktor oddaje przysługę — wiadomo, ale wiadomo i to, że zacietrzewieniu i partyjnictwu młode pokolenie położy kres, że dokona Przełomu w Narodzie, w którym jeszcze dzisiaj różni zatabaczeni redaktorzy wyżej stawiają swoje własne „względy ogólne" od wspólnej walki z wrogiem wewnętrznym Narodu. Takie postępowanie i tacy ludzie winni być i będą tak traktowani, jak na to zasługują. Inaczej nigdy się nie doczekamy prawdziwego zjednoczenia narodowego.

FERMENTACJA.

Tegoroczne lato nie miało sezonu ogórkowego. Życie nabrzmiewało nowymi treściami i zdarzeniami. Strejk chłopski zamyka tragicznym akordem ten etap rozwoju wypadków politycznych, a otwiera nowy, pełen przygotowujących się do wyładowań sił.

Politycy i dziennikarze dawnego autoramentu biedzą się nad rozwiązaniem konfliktów i narastających zagadnień, kibice polityczni radzą, doradzają, suflują, a Rząd nie ma żadnej wyraźnej linii postępowania.

Nad wszystkim oczywiście króluje plotka. Każdy numer każdego dziennika przynosi większą lub mniejszą rewelację polityczną. Ale plotka nie rodzi się sama z siebie, plotka wyrasta z gruntu fermentacji życia politycznego.

Nas, wyznawców i głosicieli nowego, ludowego, radykalnego nacjonalizmu ta fermentacja nie przestrasza, ani nie zaskakuje. Mamy jasny obraz jutrzejszej Polski i w jego wielkie ramy prowadzimy konsekwentnie ten proces. Wiemy, że pod płaszczykiem haseł „demokratycznych", jakimi szermuje tworzący się „front demokratyczny", nie kryje się prawdziwa demokracja, ale siły obce, coby się chciały w Polsce rządzić jak szare gęsi w stodole. Wierzymy mocno, że nasz nacjonalizm niesie Polsce prawdziwą demokrację, bo porządek, którego twórcą i stróżem będzie tylko naród polski. Porządek, w którym nie będzie pod pozorami wolności niewoli gospodarczej czy kulturalnej, jak to jest dziś pod zasłoną szumnych haseł papierowej demokracji.

KOŃ TROJAŃSKI.

W jednym z dzienników pojawiła się następująca notatka: „Biuro polityczne francuskiej partii komunistycznej odbyło w czwartek posiedzenie, na którym po potępieniu ostatnich zamachów na siedzibę związku przemysłowców francuskich postanowiło wystąpić z propozycją zwołania wspólnego zebrania 4-ch partyj, należących do Frontu Ludowego, celem omówienia sytuacji, istniejącej w przeddzień wyborów do sejmików samorządowych. Biuro polityczne postanowiło jednocześnie wystąpić z propozycją jak najszybszego zwołania komisji, mającej na celu opracowanie sprawy połączenia partii komunistycznej i socjalistycznej. Równocześnie biuro zdecydowało zaostrzyć walkę z elementami trockistowskimi". Oto jest finał francuskiego frontu ludowego. Biuro polityczne francuskiej partii komunistycznj na tym samym posiedzeniu chce stworzyć podstawy połączenia partii komunistycznej z socjalistyczną i zaostrzyć walkę z elementem trockistowskim. Czyż może być przejrzystszą rola Kremlu w tej robocie? W organiźmie Francji pojawiła się narośl, która jak rak coraz groźniej ten organizm toczy i sama się rozrasta. Sprawy wewnętrzno-polityczne Sowietów stają się sprawami Francji, czy ona tego chce czy nie. Obserwujemy dobrze, jakimi to drogami i krecimi ścieżkami chodzi komunizm. Front ludowy to jego najlepszy koń trojański. Czy nasz front ludowy nie byłby najlepszą dla niego bramą? Najpojemniejszym koniem trojańskim?

OKRUTNA WARTA.

Wiemy, że człowiek należący do masonerii, podlega jej prawom do końca życia. A jeżeli by się chciał spod tych praw wyłamać — to bracia w fartuszkach potrafią nie dopuścić do tego. Wystarczy, gdy wspomnimy tu tylko głośną w ostatnich miesiącach na łamach prasy sprawę Lelewela, należącego jak wiadomo do masonerii. Dwaj jego najlepsi przyjaciele pełnili przy łożu chorego okrutną wartę, aby za wszelką cenę nie dopuścić do połączenia się Lelewela z kościołem. Widząc jednak, że mogą ostatecznie nie dopilnować tej sprawy, brutalnie zmuszają chorego do wyjazdu z Brukseli do Paryża, czym niewątpliwie przyśpieszają zgon.

Te niesłychane praktyki lóż przypomniał ostatnio „Merkuryusz" w artykule napisanym z powodu śmierci Masaryka. I tu spotykamy się ze straszliwą wartą w postaci Benesza i Hodży, którzy potrafili w ostatnich chwilach życia zmusić Wielkiego Człowieka do milczenia przed narodem. I nie wiemy, czy Masaryk odwołał niektóre błędy, nie wiemy, czy zrozumiał, że większą tragedią dla narodu i państwa jest wielka Czechosłowacja ale powstała przy pomocy masonerii (nienawidzącej Austrii), niż powstanie Czech bez jej pomocy, co niewątpliwie byłoby się Masarykowi udało. Okrutna warta spełniła swą rolę. Zamknęła usta człowiekowi, który w tej chwili właśnie mógł powiedzieć najwięcej. Wielką krzywdę masoneria wyrządziła w ten sposób człowiekowi jako Wybitnej Indywidualności a większą jeszcze całemu narodowi.

Kiedy już o masonerii mowa, warto zaznaczyć, że J. E. Skiwski w „Podbipięcie" w art. „Konsolidację musimy wywalczyć" pisze m. in.: „W prasie endeckiej podnosi się chętnie alarmy z powodu odkrycia, że ta lub inna osoba ze sfer sanacyjnych należy do masonerii. Zapewne, nie są to odkrycia bez znaczenia, ale rzecz się przedstawia o wiele mniej groźnie jeśli wziąć pod uwagę ów techniczny sposób myślenia, który właściwy jest sanacji. Bo mason - sanator rozumuje tak: „Masoneria jest to organizacja mająca duże wpływy międzynarodowe. Te wpływy mogą się nam przydać, trzeba więc i w masonerii mieć swoich ludzi". Obrona conajmniej śmieszna. Można ją było stosować w ubiegłym wieku, kiedy rzeczywiście ciężko było nie współpracować z masonerią. Obecnie, dzięki Bogu, są rządy, których członkowie śmiało odwrócili się tyłem od wszechwładnej masonerii, nie robiąc sobie nic z jej siły. Tak powinno być i u nas.

Trzeba mieć tylko wiarę w siły narodu, w siły własne, no i oczywiście szczyptę odwagi w poczynaniach międzynarodowych.

EDMUND OSMAŃCZYK.

O ziemio nasza!

Wśród niezliczonych ostatnio chrztów pruskich zmieniono Zakrzewo na Buschdorf.

O, ziemio! — słowem polskim wciąż żywym otulona,
Ojców naszych ziemio odwieczna, bądź pochwalona!

Związało nas niebo z tobą w przeszły i przyszły czas
i otośmy wszyscy z ciebie, a tyś jest wszystka z nas.

Jedne są nasze dzieje i wspólna nam droga jest
hen, przed wiekami zaczęta przez wspólny święty chrzest.

Cóż stąd, że obcy dźwięk litery po tobie pisze,
ciągle jesteśmy przy tobie i nasz dźwięk słyszysz.

O polski dźwięk dziecięcych, matczynych słów walczymy.
Nie trzeba ci nic przyrzekać. Wiesz: n i e u s t ą p i m y!

I ni wicher, ani burza dźwięku naszego nie stłumi,
bo przez cię w łanach zbóż zawsze pieśń polska zaszumi.

O ziemio! — słowem polskim miłośnie otulona,
umiłowana Ojców ziemio, bądź pochwalona!

(Ciąg dalszy ze str. 1-ej)

sce w Niemczech. Powstaje pytanie, czy drogą tak drastycznych i bolesnych środków osiągnęlibyśmy zamierzony cel. Czy słaby organizm wytrzyma tak ciężką operację. Może się bowiem zdarzyć, że z tej operacji chory wyjdzie nie uzdrowiony a przeciwnie całkowicie zrujnowany. W tym wypadku tak droga inflacji jak deflacji jednakowo uderzy w kieszeń i żołądek obywatela. Można oczywiście powiedzieć, że tu zachodzi także kwestia stopnia. Umiarkowane obniżenie wartości pieniądza lub umiarkowane restrykcje oszczędnościowe wytrzyma nawet nasz słaby organizm gospodarczy. Zapominamy jednak, że ta kwestia stopnia jest bardzo śliska, że dalej — sytuacja międzynarodowa wymaga od nas dużego tempa w rozbudowie gospodarczej. Poza tym moment właściwy do zastosowania tych środków przegapiliśmy. Nasza deflacja była wybitnie konsumcyjna a potem obniżenie wartości złotego, bronionego tak wielkimi ofiarami, nie wydawało się celowe. W obecnym czasie naruszenie naszej waluty jest ryzykowne i nie wskazane. Powinno się szukać raczej nowej drogi głębokich przemian strukturalnych. Aby tego można było dokonać potrzebna jest przede wszystkim grutowna reorganizacja naszego życia politycznego. Przebudowa gospodarcza wymaga wielkiej dyscypliny i sprawności w wykonaniu. Przy obecnym rozbiciu i rozproszkowaniu społeczeństwa nic nie gwarantuje, że program będzie sprawnie i bez chaosu realizowany. Ścieranie się wzajemne interesów grupowych z trudem podporządkowanych interesowi ogólnemu, sprzeczność programów i dążeń całej gamy grup i grupek, zdegorganizowanie życia narodowego nie tylko nie rokuje sprawnego i zdyscyplinowanego wykonania programu ale i samą wartość programu stawia pod znakiem zapytania.

Jest rzeczą jasną, że w chwili obecnej nasze gospodarstwo powinno jeszcze likwidować schorzenia i niedomogi kryzysu. Że wieś nasza winna dźwigać się wzwyż przez podniesienie stopy życiowej i dążeniem państwowej polityki gospodarczej powinno być zapewnienie wsi wszelkimi środkami lepszej sytuacji materialnej.

Drogą podniesienia siły nabywczej konsumenta i podniesienia jego stopy życiowej oddziała się odżywczo na proces kapitalizacji. Jest to co prawda droga niezmiernie powolna, nie robiąca szybkich i wielkich rezultatów ale w tej chwili jedynie realną. Pamiętać oczywiście musimy, że nie może ona być obliczoną na długi okres czasu. Na to nam nie pozwalają nasze względy wojskowe i nasz duży przyrost ludności. Zanim jednak będziemy mogli zdobyć się na wielki i zasadniczy program przebudowy musimy się trzymać naszych obecnych możliwości. Program wielkich przemian może być zrealizowany dopiero po uporządkowaniu naszej sytuacji politycznej. Dopiero po dokonaniu faktycznego zjednoczenia narodowego, po zorganizowaniu sił społecznych i po likwidacji wszelkich elementów obcych i warcholskich i dokonaniu głębokiego przełomu w życiu i psychice narodu, będzie można przystąpić do przebudowy i rozwoju naszych sił gospodarczych. Zasadniczym bowiem i najważniejszym naszym kapitałem jest praca. Tej mamy pod dostatkiem. Rąk do pracy nam nie zabraknie, ale te olbrzymie masy energii muszą być zorganizowane, przepojone jednym planem, kierowane jednym aparatem. A na to potrzeba jednolitego i zwartego obozu sił narodowych, ogarniętych w całości ideą Przełomu i Przebudowy.

ANDRZEJ MICHNA.

Czynniki aspołeczne w życiu społecznym

W ostatnich czasach byliśmy świadkami różnych bardzo przykrych i skandalicznych wypadków. Wywleczono przed opinię publiczną cały szereg wielce niechwalebnych wpadunków, różnych często nie bardzo podłych obywateli naszego państwa.

Wprawdzie o tych rzeczach mówiono sobie na ucho już dawno, jak się to zresztą nadal dzieje, tylko w odniesieniu do innych spraw, zwłaszcza, że w latach ostatnich wyrobił się u nas specjalny typ bajczarza, chodzącego I. K. C.

Wiemy, że człowiek błądzić może, to leży u podstaw pojęcia „człowiek". Ale dlaczegóż to akurat u nas dzieje się stosunkowo tak dużo zła! Czy poza zwyczajną słabością charakteru ludzkiego nie kryją się jednak inne niedomagania, wytwarzające taką sytuację, lub co najmniej sprzyjające jej powstaniu?

I owszem takich przyczyn można by naliczyć bardzo dużo, zależnie od wewnętrznego nastawienia obserwatora czy krytyka, bo i byt naszego państwa od niedawna się datuje, i brak nam wyrobionych pracowników i urzędników, i moralność naszego społeczeństwa zwłaszcza pewnej mniejszości, nie stoi zbyt wysoko itd.

Ale mnie się wydaje, że brak przede wszystkim jednej bardzo ważnej rzeczy, brak u nas zamierzonego wychowania narodu. Dużo niewątpliwie zdołaliśmy już zrobić, ale zaprzepaściliśmy wszelką okazję, aby na nasze społeczeństwo oddziaływać wychowawczo.

Nie znaczy to, żeby szerokie masy naszego narodu nie znajdowały się pod różnymi wpływami „wychowawczymi". Niestety za dużo ludzi urabiało i urabia po dziś dzień opinię mas, ale czyni to „pour le roi de Prusse".

Zabiegi wychowawcze państwa powinny zdążać zasadniczo w dwóch kierunkach: powinny wywołać w masie poczucie spółodpowiedzialności za losy państwa, oraz wytworzyć w narodzie zaufanie do państwa jako całości aż do jego najmniejszych komórek wykonawczych włącznie.

A ponieważ szerokie masy ludu ze względu na specyficzny charakter naszych warunków wewnętrznych nie rychło zdołają wytworzyć samorzutnie takiej podstawy duchowej wobec państwa, więc w Polsce wychowanie musi iść z góry w dół i objąć swoim zasięgiem w pierwszej linii wszystkie czynniki bezpośrednio zależne od państwa, co znowu zależeć będzie od ciężaru gatunkowego poszczególnych kierowniczych jednostek.

Sławne powiedzenie o łatwości rządzenia ludźmi przy pomocy nawet matołkowatej łepetyny niestety nie może odnosić się do naszych stosunków. Gdzieś w Francji czy Belgii może sobie zostać ministrem byle polityk, czy inny niefachowiec, bo tradycja dobrego rządu ciągnie się nieprzerwanie przez szereg pokoleń, przewija się przez biurokrację — w dobrym słowa znaczeniu — jak złota nić powodzeń, bo tradycję dobrego rządu przekazuje jedno pokolenie drugiemu niejako z krzesłem biurowym, bo urzędnik w danym resorcie odpowiedzialny nie spadnie na to krzesło, niby z nieba, ku swemu i tego krzesła przerażeniu, tylko winduje się mozolnie ku górze poprzez gaszcze i wertepy służby administracyjnej, a wiedza administracyjna, przez.en na tym krześle reprezentowana, nie jest tylko wynikiem własnej pracy i inwencji, ale ona przedstawia ciąg dalszy doświadczenia pokoleń i własną osobowość urzędnika.

Wiekowa tradycja, wiekowe doświadczenie uosobione w dobrze funkcjonującym aparacie administracyjnym, zdoła strawić najbardziej nawet „opatrznościowego" szefa. Ale na to nie może sobie pozwolić nasza ząbkująca dopiero administracja. My na czoło naszej administracji musimy stawiać ludzi gotowych, którzy ze swej strony mogą objąć kierownictwo wychowania narodu natychmiast.

Niestety dobór naszych sił kierowniczych nie idzie po linii tego postulatu. Już nie będę mówił o sobie, którego z tymczasowego kierownika dwuklasowej szkoły ludowej zrobiono po prostu przez noc kierownikiem administracji komunalnej w bardzo ciężkim pod względem społecznym ośrodku przemysłowym, bo to stanowisko jest bez wielkiego znaczenia. Ale jesteśmy przecież świadkami, jak wszędzie dokoła nas zasiadają ni stąd ni zowąd na rozmaitych wysokich krzesłach ludzie, którzy wprawdzie cieszą się najlepszą opinią w społeczeństwa, bo są bojownikami o wolność Ojczyzny, ale którym niestety brak niejednokrotnie innych potrzebnych na to stanowisko kwalifikacyj. Ich jedyną kwalifikacją to bohaterstwo w walkach o wolność.

Nie wiem, czy ktoś z powołanych opracował już psychologię bohaterstwa, ale według mego zdania bohater nie nadaje się na stanowisko urzędnika. Cechy charakteryzujące bohaterów są odmienne od cech ludzi przeciętnych. Bohaterstwo to czynnik emocjonalny, wymagający jednorazowego wysiłku, poparty bardzo często środkami zewnętrznymi, niwelującymi świadomość — lub co najmniej popartym chęcią wybicia się, pewnego ryzyka, a u ludzi, którzy bohaterstwo ujmują jako środek, prowadzący do celów dalszych, idealnych, innymi czynnikami emocjonalnymi, jak miłością Ojczyzny, wolności i t. d. Ale tych ostatnich jest bardzo mało.

W każdym razie bohater nie jest nim przez cały przeciąg trwania akcji. To też podstawą odporności armii niemieckiej podczas wielkiej wojny nie byli wcale odznaczeni największymi orderami bohaterowie, tylko był nią ten przeciętny oficer i żołnierz, który nerwowo wytrzymał kataklizmy powszedniego dnia wojennego. Bohaterowi brak wytrwałości. Nasza historia poucza nas bardzo często i dobitnie o tym zjawisku.

To też byliśmy świadkami, jak cały szereg naszych najwięcej zasłużonych bohaterów nie potrafił wrócić do życia przeciętnego dnia. Jeżeli mi wolno wskazać na nasze czynniki decydujące, to widzimy, że nikt z tych panów nie wrócił do swego dawnego zawodu. Zawód bowiem ma to do siebie, że go trzeba wykonywać mozolnie, walcząc bardzo często z „brudną" konkurencją. Trzeba go wykonywać co dzień, rok za rokiem, przy czym rzadko kiedy zdarza się okazja zabłyśnięcia, a przede wszystkim nie można powodzenia szturmować, nie można go wziąć „en assaut" z białą bronią w ręku. Więc nie szukali drogi powrotnej.

Skoro się rozejrzymy w naszym społeczeństwie, to spostrzegamy bardzo dużo mniej wysokich figur, które właśnie do dziś szukają tej drogi powrotnej, i znaleźć jej nie mogą. I ja każdemu z nich wierzę na słowo, że ryzykował swoje życie w walce o niepodległość. Ale ci wszyscy panowie walcząc, jak naprzykład na Śląsku w niejednym wypadku przez 7 lat, nabrali pewnych cech awanturniczych — sit venia verbo — i stworzyli typ pewnego rodzaju condottiera, który nie potrafi się dostosować do czasu pokoju, bo społeczeństwo zanadto ogranicza jego wolność ruchów. Stali się typami aspołecznymi.

Ten element ma u nas de publicis głos decydujący. Okazuje się jednak, że miłość Ojczyzny, samozaparcie się w boju, poświęcenie siebie samego na ołtarzu Ojczyzny nie wystarczy. Są to atrybucje bodajże najbardziej pożądane, aby je posiadał każdy Polak. Ale do zabierania w sprawach ogólnych głosu trzeba jeszcze bardzo dużo doświadczenia życiowego, bo inaczej nie wyjdziemy nigdy poza fazy eksperymentu w naszych poczynaniach państwowych i gospodarczych.

Brakować nam będzie zawsze tego daru koordynowania wysiłków i ułożenia hierarchicznego naszych zadań. Nie będziemy potrafili odróżnić ziarna rzeczy istotnych od plew obowiązków, które do nas nie należą.

Byliśmy świadkami wojny z godziną ósmą. Na wszystkich Polaków zrobiło to poszukiwanie winnych i nagradzanie grzecznych przez dygnitarza państwowego bardzo przykre wrażenie. Niby jak? Nie ma u nas punktualności? Po dziewiętnastu latach własnej biurokracji nie ma punktualności! Przecież ja znam nie tylko poślednie urzędy, ale bardzo nawet poważne, jak nasze województwo, gdzie nie istnieje zagadnienie godziny ósmej.

A jeżeli już ten „kompleks ósemki" w Polsce istnieje, to czy od tego są dostojnicy państwowi, aby pilnować tej ósemki! Nie prościej to zaprowadzić markownię! Kiedy jako „szleper" spóźniłem się raz na szychtę, to mi przede wszystkim nie zapisali tej „szychty" a na drugi dzień „oberhajer" rozwarł na mnie „pysk jak wrota" i groził mi „papierami na łopacie". Prawda?!

Ale taki brak uwarstwowienia hierarchicznego zadań może tylko hamować wykonywanie zwykłego zakresu działań wyższego urzędnika, nie zawiera on w sobie jeszcze nic szkodliwego.

Nie pożądanym dla społeczeństwa jest dopiero inny typ charakterystyczny tej grupy ludzi. U nas postąpiono w ten sposób, że bohaterowie pozostali po wojnie w wojsku. Tam uzyskali bardzo szybko wysokie rangi. Ale wysoka, do tego raźno osiągnięta ranga wojskowa ma to do siebie, że stwarza dystans społeczny pomiędzy dygnitarzami a resztą wojska, no i społeczeństwem cywilnym. Taki sam dystans istnieje, na przykład, pomiędzy klerem a wierzącymi lub nawet nauczycielem a wieśniakami. Wojskowy dygnitarz widzi wszystko przez pryzmat rozkazu i „na rozkaz" w postaci „na baczność". Przeszedłszy na stanowisko cywilne, nie umie się swych uproszczonych schematów w pojmowaniu życia pozbyć. I nieraz byliśmy świadkami, jak niektóre zjawiska życia społecznego, a zwłaszcza gospodarczego, absolutnie nie chciały stawać na baczność...

Przedostanie się takiego czynnika do życia administracyjnego stwarza niezdrową atmosferę. Urzędnik, odpowiadający jak w wojsku tylko na pytanie, stanie się bezduszną, bezmyślną maszyną, wykonywującą ślepo polecenia szefa bez zajęcia krytycznego stanowiska i, nie daj Boże, bez zwrócenia jemu uwagi na ewentualną nieżyciowość decyzji. Jest to typowy sposób zabijania w jednostce osobowości i inicjatywy własnej.

A ponieważ jest wszędzie dużo takich gagatków, którzy tylko czekają na okazję, aby się wysforować na lepsze stanowisko jedynie za pomocą wpływów ubocznych, obcych meritum prawidłowej służby, więc w krótkim czasie odsadzą od szefa wszystkich ludzi uczciwych i zacynają grać na jego ambicji, ścieląc się jemu do stóp. Zaś po odwróceniu uwagi szefa od istotnych zadań służby, czynią co im się żywnie podoba, zupełnie bez skrupułów i bez oglądania się na dobro społeczne.

I ów szef, który wszedł w tę służbę pełen energii i dobrej woli, uczciwy i pracowity, właśnie dla braku potrzebnej znajomości ludzi i przedmiotu, stanie się ofiarą swojej niewiedzy. Potem mówi całe miasto, ba całe województwo, o świństwach, których dopuszcza się ten czy ów lizus, a szef o nich nie wie, bo takie się właśnie przez to ogólne kadzenie wytworzyły się warunki, że każdy klnie, na czym świat stoi, ale — obawia się pisnąć.

W niedługim czasie naszego bytu samoistnego zdołaliśmy nietylko zagubić rogatą duszę Polaka niepodległościowca ale i zarazić organizm Polski potworną psychozą lokajską.

Postulat jest jasny!

Jeżeli chcemy wychować naród, to znaczy masy chłopskie i robotnicze, w duchu współodpowiedzialności za losy państwa i w duchu zaufania do czynności rządzenia, wówczas musimy dobrać odpowiednich wychowawców w postaci jednostek kierujących losami kraju.

Trzeba niewątpliwie dać bohaterowi, co mu się należy. Zwłaszcza szacunek i wdzięczność całego społeczeństwa, ale nie wolno go narażać na utratę swej dobrej opinii przez postawienie jego jako niewłaściwego człowieka na niewłaściwym miejscu. Nie znaczy to przecież, żeby wśród tej kategorii ludzi nie było dużo takich, którzy ze względu na różnorodność walorów ich osobowości nie zasługiwaliby na stanowisko kierownicze w państwie. Ale nie znaczy to tym bardziej, żeby takich ludzi znaleść można li tylko w ciasnych ramach jednej grupy obywateli.

Trzeba bezwzględnie przy doborze ludzi na stanowiska kierownicze wyjść z ciasnego kręgu wzajemnych adoratorów i szukać ich w nieprzebranej skarbnicy całego narodu, zwłaszcza wśród synów chłopa i robotnika.

Nowe drogi Z. N. P.

Prasa na naczelnych miejscach podała wiadomość o rewizji w Związku Nauczycielstwa Polskiego i opieczętowaniu ksiąg i lokalu. Społeczeństwo czekało na ten krok od dawna. Tymczasowym zarządcą Z.N.P. z ramienia Rządu został kol. Musioł Paweł. Oznacza to jasne i wyraźne postawienie strony ideowej Związku oraz zwrócenie wielu wysiłków w kierunku takiego stawiania spraw zawodowych, jakiego sobie życzy i jakiego domaga się nauczycielstwo. Sprawę mianowania kol. Musioła omówimy obszerniej w nast. n-rze „Kuźnicy". Tu tylko ograniczymy się jeszcze do stwierdzenia, że Z. N. P. tym samym weszło na nowe tory swego istnienia.

ALFRED JESIONOWSKI.

Droga dziewcząt z Nowolipek

Liczna była gromada dziewcząt z Nowolipek: Maria, Janka i Bronka Mossakowskie, Amelka i Cechna Raczyńskie, Kwiryna i Franka.

Najzdolniejsza i najwrażliwsza z nich, nieślubna Franka, pierwsza uległa życiu, zginęła, bo doczekać się mogła wytęsknionej miłości, ciepła i serdeczności ludzkiej, bo nikt jej nie podał pomocnej ręki. Maria i Janka Mossakowskie przepadły gdzieś w Rosji — wyszły podobno zamąż. Cechna, mając wszelkie dane na dobrą żonę i matkę, zapobiegliwą panią domu i gospodynię, opuściła męża, niechcąc dzielić z nikim jego serca, nie próbując walczyć o odzyskanie jego miłości. Macierzyństwo, miłość do dziecka sprawiły, że Cechna wzięła się z życiem raz jeszcze za bary, że spróbowała po raz trzeci odbudować sobie życie. Amelka, stworzona tylko na kochankę, spełniła wypowiedzianą kiedyś groźbę, że zemści się za swe krzywdy życiowe na starym mężu - aptekarzu. Wyszła za niego z wyrachowania, z nienawiścią w sercu, pchana źle pojętą miłością, fałszywą ambicją matki. Od starego aptekarza nie mogła oczekiwać szczęścia w miłości. To też gdy zjawił się człowiek zdolny spełnić jej pragnienia, gdy zaszła obawa, że mąż stanąć może na przeszkodzie, nie zawahała się otruć go. Energiczna, czynna i mocna Kwiryna, stojąc silnie na gruncie rzeczywistości, żyła nieświadomie życiem podwójnym. Rozpychała ją żądza czynu, jej poświęcała swe najlepsze siły i wszystkie niemal myśli. Życie osobiste, życie małżeńskie było zrazu tylko dodatkiem do tej niezwykłej aktywności zewnętrznej. Ustawiczna, niezmordowana praca, gromadzenie majątku było dla niej celem w sobie. Drugi ważny czynnik w jej życiu, miłość, schodził na razie na plan drugi, był jednak nie mniej silny niż gorączka czynu, która ją trawiła. Gdy tej miłości później zabrakło, aktywność Kwiryny przybrała inne oblicze. Twarda Kwiryna złagodniała pod wpływem śmierci męża. Najtragiczniejsza z gromadki, Bronka, ginie śmiercią samobójczą. Oto ponura, beznadziejna droga dziewcząt z Nowolipek.[1])

☆

Czy droga taką być musiała, czy nie było innej, jaśniejszej? W pierwszej części powieści,[2]) mówi gdzieś Franka do Bronki:

„Widzisz, ani ty ani ja nie potrafimy zamknąć oczu i puścić się na całego, ani też żyć jak się należy, przykładnie. Tu nam za ciasno, za głupio, za ordynarnie — a tam, w tym lepszym świecie za mądrze, za chytrze, za fałszywie. I tu źle, i tam źle, wszędzie nieswojo. Gdy się wchodzi w życie z takim bagażem jak my, to wystarczy akurat na rynsztok. Po co chodziłyśmy na te komplety, po co wyszłyśmy z Nowolipek, po co czytałyśmy kłamliwe i piękne książki? To wszystko nie dla nas, my nie mamy teraz do czego rąk przyczepić, ani serca, ani myśli.. Nasze matki lżej znosiły to wszystko, nie umiały czytać ani pisać. To jest lżej, mówię ci, jeśli się nie rozmyśla. Ponadto moja matka piła, a twoja miała niezwruszoną wiarę. A my się tak będziemy pętać w życiu popychane. Co to jest za życie?.. Ani dzieciństwa, ani młodości, nic, nic..." (Dziewczęta z Nowolipek" — Tom II — str. 133-135).

Jakiż był ten bagaż, z którym one weszły w życie? Pochodziły z rodzin drobnych rzemieślników, małych sklepikarzy, służby domowej. Rodziny Mossakowskich i Raczyńskich pamiętały czasy lepsze, czasy pewnego dostatku, względnego spokoju i szczęścia rodzinnego. Obie matki wychowane były religijnie, w religii szukały pociechy i pomocy. W tym duchu też wychować chciały swoje dzieci i przekonane były, że czynią to, że wychowują je po bożemu, dla ich szczęścia. Nie zdawały sobie jednak z tego sprawy, że to wychowanie religijne, moralne pojęte było czysto zewnętrznie, okolicznościowo, że duch chrześcijański nie przepajał całego ich życia, że tym samym dzieciom nie dały mocnych fundamentów. Niedostatek, liczne przeciwności losu przyczyniły się do tego, że dzieci wychowały się właściwie same. Rychło spostrzegły dysproporcję pomiędzy powierzchownie udzielanymi naukami moralnymi a brutalnością życia. Przestrogi i rady matek, udzielane automatycznie i mechanicznie, bierność jednej a fałszywie pojęte szczęście osobiste człowieka drugiej sprawiły, że dzieci szybko przestały brać je poważnie, że wreszcie otwarcie z nich kpiły. Może byłoby się życie tych dziewcząt mimo to ułożyło mniej rozpaczliwie, mniej tragicznie, gdyby nie były tak wcześnie opuściły swego środowiska, gdyby nie były poznały inne, zdaniem ich szczęśliwsze, pełniejsze, radośniejsze życie. Na tych kompletach i przez nie poznały dzieci świat inny, błyszczący z daleka, obiecujący nieznane a upragnione rozkosze. Nie przyzwyczajone radzić się osób zaufanych, doświadczonych, pozostawione całkowicie sobie samym w swym rozwoju duchowym i fizycznym, nie rozróżniały dzieci dobra od zła, mając tylko mętne pojęcie o grzechu. Obdarzone wszystkie swoistym temperamentem upatrywały szczęście w życiu dostatnim, w wyjściu z biednego ciasnego świata Nowolipek. Rządził niemi jeden główny a potężny instynkt: miłość. Zaczęły poddawać się temu instynktowi ufnie, spragnione dobroci, serdeczności, jasnych i pogodnych chwil. Nie zdobyły żadnej gruntownej choć skromnej umiejętności, nie nauczyły się chcieć pracować, dążyć do jakiegoś wyższego celu.

Cóż wiedziały matki o swych córkach?

Bardzo niewiele. Sprawy materialne, gospodarskie pochłaniały je niemal całkowicie. Uważały, że spełniają wystarczająco swe obowiązki matczyne pilnując, by dzieci odmawiały swe pacierze codzienne, by chodziły co pewien czas do spowiedzi, starały się, by dzieci były nakarmione i odziane, a oto było coraz trudniej.

Bieda wyzierala z wszystkich kątów. Matki nie troszczyły się o to, czym dzieci zapełniają swój wolny czas, co myślą, jakie są ich marzenia i zamiary na przyszłość. Nie interesowały się także tym, jaki był prawdziwy stosunek dziewcząt do Boga, nie przepajały całego życia rodzinnego duchem chrześcijańskim. Nie przychodziło im to zupełnie na myśl i prawdopodobnie nie byłyby nawet zdolne do tego. Dzieci były więc zdane na siebie samych, poszły też swoją drogą. Uczyło je życie, ale głębszego sensu życia, jego złożoności oczywiście zrozumieć nie potrafiły. Pozory brały za prawdę, blichtr za złoto, nadzieje za rzeczywistość. Szły za instynktem. Spragnione ciepła, czułości, miłości uległy szybko zwodniczym kuszeniom mężczyzn.

Po pierwszym upadku następowały dalsze, gorsze, bardziej brzemienne w skutki, silniej rozstrajające dusze kształtujących się dopiero młodych kobiet.

Jedne, jak Amelka i w pewnej mierze także Bronka, która „zawsze szła przed siebie", przechodziły prędzej do porządku dziennego nad swymi klęskami, choć pozostawiły one upadki głębiej.

Jedyna Kwiryna, której wyrobiony zmysł rzeczywistości i odmienny temperament wskazały inną drogę wyładowania nadmiaru swych sił, nie poniosła narazie żadnej poważniejszej klęski. Ale także w Kwirynie tkwił pierwiastek niepokoju duchowego, i ona męczyła się — mimo pozornej twardości — niezrozumieniem na jakie napotykała ze strony męża i bliskich koleżanek. Z nieubłaganą konsekwencją wykazała Gojawiczyńska, że tę ponurą drogę życiową dziewcząt z Nowolipek wykreśliło przede wszystkim środowisko, które nie potrafiło pokierować drzemiącymi instynktami, nadać duszom i myśli tych dziewcząt takiego kierunku, któryby je uchronił przed wczesnymi i tak bolesnymi doświadczeniami życiowymi.

Poczucie złego i dobrego drzemało gdzieś na dnie duszy, uświadamiało im się rzadko zupełnie wyraziście i jasno. Złem było przede wszystkim to co przyczyniało trosk i kłopotów, co sprawiało krzywdę, dobrem, co je usuwało. Nikt nie nauczył ich rozumieć istoty dobra i zła, stąd droga ich życia była tak beznadziejnie ponura, tak tragiczna. Uwidacznia się to szczególnie u takiej Bronki czy Amelii, która nawet po popełnieniu zbrodni, niema świadomości popełnionego zła, przeciwnie, czuje się nią wywyższona. Usprawiedliwienie swego czynu znajduje nietylko przed sobą samą ale także w oczach takiej trzeźwej Kwiryny. Nie kochała swego męża, miała więc prawo pozbyć się go.

Jeśli ponurość powieści, wiejący z niej pesymizm, tłomaczyć można w znacznym stopniu wpływami środowiska, w jakim autorka umieściła fabułą swej powieści, to jednak nie wszystko musiało koniecznie skończyć się tak beznadziejnie. Czy Cechna n. p. nie miała wszystkich danych, by prowadzić mimo pierwszych bolesnych przejść — później życie szczęśliwe, a bodaj spokojne w swym sumieniu i poczuciu obowiązku? Zdrada męża wystarczyła, by go opuściła, by naraziła swe dziecko na trudne warunki bytowania, a kto wie, czy nie wkońcu na tę samą drogę, jaką przeszła matka. Tu już nie winne samo środowisko, ale predyspozycje psychiczne w jakie autorka wyposażyła swe bohaterki, tu tkwi już pewna określona postawa życiowa Gojawiczyńskiej. Także Bronka miała jeszcze drogę wyjścia, kiedy do niej powrócił Piędzicki i gotów był naprawić wyrządzoną kiedyś krzywdę. Bronka jednak nie potrafiła otrząsnąć się z dotychczasowych przeżyć, ze swego zniechęcenia do życia, niewątpliwie wykolejonego. Bronka, pełna nieuświadomionej wewnętrznej rozterki, nie miała już dość siły woli aby stworzyć sobie życie nowe.

Zbyt silny chaos powstał w jej duszy, by potrafiła dojść do ładu ze sobą. Z licznej gromady dziewcząt z Nowolipek dwie tylko odnalazły się w życiu mniej więcej moralnym, które, prócz miłości inny jeszcze czynnik dopuściły do głosu w swym życiu, które w pracy znalazły pewne uciszenie krwi.

Droga życiowa dziewcząt z Nowolipek wykreślona więc była zarówno przez środowisko, z którego wyszły jak i predyspozycje psychiczne, pewne podstawowe pierwiastki duszy kobiecej. Tezę tę przeprowadziła Gojawiczyńska w „Rajskiej jabłoni" po mistrzowsku.

Beznadziejnie smutny obraz, jaki wyszedł z rąk Gojawiczyńskiej przykuwa mimo swej ponurości rzetelnością artystycznego wysiłku, głębią prawdy życiowej na określonym odcinku (mężczyźni są w powieści tylko akcesoriami mało znaczącymi, oglądamy ich tylko przez pryzmat duszy kobiecej), umiejętnym i świadomym stopniowaniem środków artystycznych, doskonałą, oryginalną i konsekwentną organizacją materiału powieściowego. Powieść Gojawiczyńskiej jest w pierwszym rzędzie znakomitym studium duszy kobiecej, duszy kobiety polskiej, i jako takie ma zapewnione swoje miejsce w literaturze.

Pola Gojawiczyńska: Rajska Jabłoń — Tom I - II. — str. 287 i 330, Warszawa 1937.

Pola Gojawiczyńska: Dziewczęta z Nowolipek — Tom I - II — str. 234 i 242.

JAN BARANOWICZ.

POLE

(Z CYKLU: WIERSZE O WSI)

Zaczniesz się jak pacierza szept krzyża wykresem,
w kołtun krwawych jarzębin wpiętego podestem,
i rzeki wodopojem, co gadzinie niesie
zdrój rzeźwy, gdy się runem twym nasyci gęstem.

Ciągniesz się jak noc zimą, jak gościńca taśma,
Żarłocznie mi się wgryzła w ce przysłowiem
o psie, co łeb na jednej miedzy, ogon zaś ma
na drugiej, wpoprzek składy zmierzywszy tułowiem. —

Żarłocznie mi się wgryzła w mózg twa topografia: —
łysy pałub wzniesienia czy podmokły wądół —
od młodzi, gdzie po dziś-dzień dzik w gąszczy się trafia
aż do wtulonych w siebie w kształt prawdziwków stodół.

Oparkaniasz się strugą od cierpkich śliw sadu
i grusz, roślejszych w pasie — niż cokół jesiona.
A potem już w kamractwie swarnych pól — sąsiadów
wleczesz ciężko na pagór zagonów brzemiona.

Znów sennym międzywzgórzem do wielkiej przekopy
schodzisz w zadyszce rządków. Pachniesz mchem pastwiska.
Do miesiąca na piasskach złocisz pszenne kopy.
Żab sejmowaniem schwalasz grzęzawe maśliska.

W konotopie Czarnawy wdzięczysz się szuwarem,
brzezinami na mostku, kniecią w torfisk kadzi.
O nietrzebione olchy, legowisko saren
niwa twa prostokątem okrajka zawadzi.

Aż dopiero w chojarach sfolgujesz spłacheciom,
owłosiwszy ostatni łęg kostrzewy siańskiem —
I dalej już ci nie łza sypkiej drogi przeciąć,
co stróżę trzyma — pomiędzy chłopskiem a pańskiem.

Pole moje orane!, glebo czwartej klasy! —
Batem mię na uwrociach uczył poganiaczki
rodzic. Na twoich ścierniach raniłem kulasy.
W kępach miedz w niebom patrzył, legnąwszy na znaczki.

Rozłamał się kmieć głodny na stajen dwadzieścia.
Naprzemian ziemniakami obsadził i żytem —
Żrącą rdzawkę bruzd twoich i przętnic na pięściach
rąk wychudłych karbował trudem rychło — świtem —

Ty jedno w dziejów gmatnie pojmujesz inaczej
te skurcze szczęk, przednowki, ten pojęk naw szumny.
Ty poświadczysz, gdy przyjdzie pora mocnych świadczeń,
że chłopem zrodzon — chłopem odszedłem do trumny — -

ŻYCIE TEATRU.

„Rozwód"

Komedia w trzech aktach Zdzisława Marynowskiego, reżyser Marian Godlewski

Komedia Marynowskiego zdradza pewne śmiałe ambicje i dążenie do oryginalności. Ograniczenie akcji do czterech głównych postaci, z których każda jest w sztuce pozycją równorzędną, zamknięcie jej w ciasnych ramach niespełna trzech dni i umiejscowieniu na luksusowym transatlantyku, płynącym do Ameryki, a wkońcu wstawienie w stuprocentowo amerykańskie towarzystwo Polaka, dając mu w stosunku do towarzyszy podróży rolę czynnika powodującego wszelkie powikłania i będącego motorem akcji — wszystko to świadczy, że autor zamierzał stworzyć komedię czy farsę niepodobną do innych, nową i świeżą. Jest w niej jeden jeszcze ciekawy i oryginalny motyw: zamiana oklepanego trójkąta małżeńskiego na kwadrat, skupienie około jednej kobiety trzech mężczyzn i rozwiązanie sprawy pointą, z której korzyść wynosi ten trzeci. Teoretycznie zatem rzecz biorąc, sztuka powinna być nowa i interesująca i tworzyć niepowszednią pozycję w polskim lekkim repertuarze. Tego juz jednak debiutujący (o ile się nie mylę) autor nie osiągnął. Przeszkodził mu brak nerwu scenicznego a prawdopodobnie nie jest tu bez winy i powierzchowna znajomość stosunków i ludzi, będących tematem sztuki. Już sam początek farsy przytłacza widza nadmiarem gadaniny, tworząc z punktu widzenia sceniczności słabe i rozwlekłe wprowadzenie, w ciągu którego autor stara się nam jak najwszechstronniej przedstawić jednego z bohaterów, zużywając na to jednak zbyt dużo słów. Ta przewaga słów nad akcją cechuje w dalszym ciągu całą sztukę. Ponieważ musi być w tym jakieś farsowe tempo, akty są krótkie a widz ma wrażenie, ze mogłyby być jeszcze krótsze Amerykańscy bohaterowie farsy mieszczą się bez reszty w popularnych pojęciach, jakimi ich zazwyczaj charakteryzujemy, mają typowe rysy tych ludzi, których znamy z anegdot, dowcipów i artykułów, jakimi dziesięciogroszowa prasa zapełnia niezajęte czymś ważniejszym miejsca. Polak temu towarzystwu przeciwstawiony mógłby być równie dobrze przedstawicielem każdego innego narodu, a gdyby miał więcej pieniędzy nie różniłby się od niego wcale. Umiejscowienie akcji na płynącym statku jest tylko formalne i ma znaczenie dekoracyjne. Momentu tego nie wyzyskał autor do ożywienia sztuki, uczynienie jej więcej barwną i egzotyczną, co znacznie podniosłoby jej walory sceniczne. Jako zalety sztuki wymienić nalezy kilka doskonałych sytuacji i z dobrym zacięciem satyrycznym skreśloną postać Parkera. Obok niego żywo i dobrze prezentuje się jeszcze Joanna Jan Leliwa jest mniej interesujący i nawet jak na farsę przerysowany.

Najwięcej życia i humoru wniósł na scenę w roli Parkera p. Kostrzewski, specjalizujący się juz drugi sezon w rolach rodzinnych i amerykańskich finansistów. Parkera odtworzył jednak oryginalnie, z uwydatnieniem wszystkich charakterystycznych rysów tej postaci i jego zasługą jest to, że widownia się bawiła. P. Barwińska zagrała swą rolę jak zwykle bez zarzutu, przy czym wszystkie lepsze sceny wystąpiły szczególnie plastycznie i barwnie. Dobrze reprezentował się przed nową publicznością p. Karowski w roli Jana. Był typowem, nonszalanckim, beztroskim lekkoduchem, miał jego swobodę i pewność siebie. Reżyser widowiska p. Godlewski wypadł może najsłabiej w tym otoczeniu. Rola nie leżała w jego warunkach i typie, wypadła więc blado, do czego przyczyniły się też i pewne wady wysłowienia. Z przyjemnością myślało się o bardzo dobrze zagranej jego roli w „Grubych rybach".

Dekoracje p. Jarnutowskiego kolorowe i błyszczące w ogólnych rzutach zbyt wyraźnie kolidowały się z zasadami budownictwa okrętowego i dalekie były od tego, co przywykliśmy uważać za charakterystyczne cechy „wielkiego liniowca transatlantyckiego". Eleganckie umeblowanie nie harmonizowało zawsze ze strojem dwóch amerykańskich milionerów.

t. b.

* * *

Teatr w Sosnowcu

Inaugurowanie sezonów teatralnych absolutnie nieinauguracyjnymi farsidlami (w rodzaju: „Gdzie diabeł nie może...") należało by właściwie nazwać nie tylko kompletną ignorancją w dziedzinie rozróżniania pojęć: sztuka i kryminał; ale nade wszystko bezprzykładnie wyrafinowaną w stosunku do autora złośliwością. Eksperymenty takie kompromitują jego personę na całej linii, demaskując z pasją jego artystyczne zero. Chciałoby się wnet przewidywać na czas najbliższy jak najenergiczniejszą akcję protestacyjną ze strony autorskich związków w ich własnym interesie.

Daleko gorzej ma się rzecz z nieporównaną bezmyślnością pracy, która to wszystko toleruje i pod adresem dyrektorskiej polityki wypisuje rózne kadzidlane nonsensy, że np. „potrafiła uderzyć w właściwy ton dla środowiska", itp. bzdur. W tym wypadku jednak, to już chyba zarówno miasto jak i jego szanujący się obywatele zarządzą pewnie jakieś masowe dozbrojenia przeciw podobnym bezodpowiedzialnym ekstrawagancjom.

Natomiast całkowita bezradność w obmyślaniu kontrakcji na jednym tylko panuje tu odcinku. Na takie bujdy prowadzi się przecie bezkompromisowo młodzież, bezkrytycznie organizuje się jej specjalnie „takie" przedstawienia i zupełną bezwartością sztuczydła z gruntu demoralizuje. To juz jednak nie jest wina ani Dyrekcji ani autora, ale... Tu trzeba by już było społeczności naszej powalczyć nieco z samą sobą. Nie ma innego antidotum!

Dodajemy jeszcze ryzykowną, zuchwale niedbałą obsadę (z b. małym wyjątkami), która nawet prowincjonalnego reżyseraamatora w prawiłaby w kłopot nielada; — a zorientujemy się choćby tylko w najplastyczniejszych hieroglifach i klinach, którymi nabiła nam głowy Dyrekcja sosnowieckiego teatru u progu nowego sezonu.

Dopiero z drugą z rzędu sztuką („Małżeństwo") nastąpiła dawno oczekiwana odmiana. O wartości przedstawienia zadecydowała głównie aktualna problematyka inscenizowanego utworu, rozwiązywana pozytywnie, budująco, konstruktywnie. Narastała w nas z każdym aktem świadomość, że autor na prawdę ma coś do powiedzenia, że mu o coś chodzi, że na scenie rozgrywa się dramat zyciowy nas wszystkich. Z dalszych refleksyj, pospektaketowych, snujemy wnioski, że autorytet teatru przede wszystkim na ideologicznych fundamentach stoi, że czysta forma w teatrze jest bez sensu, a głębia jego równia znaczy z wagą jego życiowości, która nie bawi, ale niepokoi i daje wiedo myślenia. Tylko wtedy nie zatraca teatr logiki i konieczności swego istnienia...

W progi Teatru Zagłębia wkroczyła długo nieznana tu, potem zaś tak wyraźnie zarzucona rzetelność. Wniósł ją właściwie reżyser „Małżeństwa", St. Szpiganowicz, cierpliwym układaniem, ukształtowaniem, wycelowaniem. Z grających potrafił wydobyć wszystko, co się tylko dało. Zdumiewającym jest, jak nieznośne do niedawna adeptki poprostu w oczach scenicznie dojrzewają, krystalizują i opanowują ekspresję, zaczynają coś reprezentować...

Żeby tylko z zapowiedzianymi przez Dyrekcję w dniu otwarcia sezonu realizacjami dzieł: Fredry, Żeromskiego, Molie'ra i Szekspira nie było tak, jak w ubiegłym roku teatralnym z „Sułkowskim" i „Hamletem"!

Emka.

J. K. ZAREMBA.

Przekroje

Są jeszcze ludzie, którzy szukają bezskutecznie antysemityzmu w Polsce i znaleźć go nie mogą. Takie poszukiwania stają się coraz trudniejsze, jako że prawda bije w oczy nawet najzacieklejszych obrońców okopów Jerozolimy. Trzeba chyba wybierać się w okolice jak najbardziej zapadłe, aby jej nie dostrzec i móc snuć fantazje, jak by to w Polsce byc mogło, gdyby było.

Tego zdania jest zapewne Wasilewska, która w „Wiadomościach literackich" dzieli się z (chętnymi) czytelnikami rezultatami swej podróży na Polesie, podróży, która zakończyła się rewelacyjnym odkryciem, że w Polsce nie ma żadnego antysemityzmu. Mało tego. Na Polesiu istnieje — wyrażając się stylem autorki — „nieprawdopodobnie piękna" sielanka miejscowej ludności z żydami, którzy są jej przewodnikami i opiekunami (Żyd jest sołtysem — fakt ten budzi zrozumiały entuzjazm). Stosunki panujące pod tym względem na Polesiu przedstawiają się autorce nieledwie jako ideał. Pod tym względem okazała się Wasilewska — mimo swych skrajno-lewych zapatrywań — niebylejaką konserwatystka. Trzeba bo też pamiętać, że podróż na Polesie, to przenoszenie się nie tylko w przestrzeni ale jeszcze więcej w czasie. Stosunki tam panujące, jak o tym wie każdy, kto był na Kresach, są, łagodnie powiedziawszy, nieco zacofane. Poradzić należałoby Wasilewskiej, aby przyszłą wycieczkę odbyła po bardziej zapadłych kątach Huculszczyzny. Żyd wyrósł tam nie tylko na sołtysa ale i na właściciela ziemskiego. Tam to utwierdzi się Wasilewska jeszcze bardziej w swych przekonaniach.

Co do nas to nie potrzebujemy jechać aż tak daleko. Wystarczyłaby nierównie prozaiczniejsza podróż do Bielska, aby przekonać się o groźnym zaognieniu stosunków polsko - żydowskich. Przed kilku dniami władze wydały w tej sprawie komunikat stwierdzając, że na przyszłość wszelkie ekscesy antysemickie będą surowo karane. Ale komunikat sprawy nie wyczerpuje. Organizm społeczeństwa, który reaguje dziś ostrą gorączką na próby uważania kwestii żydowskiej za nieistniejącą, nie uleczy się usunięciem tych lub owych objawów. Sprawa jest więcej, niż dojrzała do poważnych rozstrzygnięć i to nie tylko od strony represji.

Ciekawa i charakterystyczna jest polemika pism żydowskich z socjalistycznym „Robotnikiem" w sprawie stosunku P.P.S do żydów. Żydzi zachęcają opieszałych socjalistów do gorliwej obrony żydowskich interesów. Dopingowani w ten sposób obrońcy odpowiadają w tonie minorowym, co więcej, są tymi nagabywaniami widocznie zniecierpliwieni. Odpędzają się jak mogą. Nie należy się im zbytnio dziwić. Trudną i niewdzięczną jest walka głów — chociażby naszpikowanych najbardziej płomiennymi doktrynami — przeciw własnym sercom.

ERRATA.

Do artykułu Pawła Musioła „Ani sanacja ani opozycja" w ubiegłym nrze zakradł się przykry błąd, który wypaczył sens całego zdania. Mianowicie zamiast nieusuniętego podczas korekty wiersza trzeciego na samym początku artykułu należy wstawić następujący: „że Polska to wolne państwo". Czyli całe zdanie będzie brzmieć: „Ciągle jeszcze zapomina się u nas o dwu bijącyh w oczy faktach: o tym, że Polska to wolne państwo; o tym, że czasy, w których żyjemy, to czasy dokonywania się wielkiego przełomu w dziejach

Wydawnictwa nadesłane

Paweł Kubisz: Przednówek. Poezje. Cz. Cieszyn — 1937.

Edmund Osmańczyk: Wolność jest słoneczna. Poezje. Opole — 1937.

Marian Kubicki: Pieśni bose. Poezje Warszawa — 1937.

A. Juźwik: P.O.G. Chorzów — 1937.

Śląsk Cieszyński — z życia gospodarczego. Praca zbiorowa. Cieszyn — 1937.

„Biełaruski letapis". Knižka 9. Wilno — 1937.

„Zarania śląskie". Nr. 3.

WYKAZ LITERATURY BIEŻĄCEJ O ŚLĄSKU, rok III, nr. 1-szy, styczeń—marzec 1937 r. 18 stron. Cena 0,30. — Do nabycia w księgarniach.

Ukazał się pierwszy zeszyt trzeciego rocznika „Wykazu literatury bieżącej o Śląsku", rejestrujący w rzeczowym podziale bibliografię tyczącą Śląska za pierwszy kwartał 1937 r. Zeszyt notuje na 18 stronach druku 269 pozycyj bibliograficznych, zarówno z literatury polskiej, jak i obcojęzycznej na tematy śląskie.

SILESIAN AFFAIRS NR. 1 — Edited by Roman Lutman. — Publications of the Silesian Institute) Stron 76. — Cena 5,— zł. Do nabycia w księgarniach.

Nowe to wydawnictwo Instytutu Śląskiego w języku angielskim ma na celu poinformowanie zagranicy o sprawach śląskich. Znajdujemy tu szereg wyczerpujących artykułów, poświęconych róznym zagadnieniom śląskim, m. in. prof. Semkowicza o nazwie Śląska, i historycznym rozwoju granic Śląska, Dr. W. J. Rose'a, profesora Uniwersytetu Londyńskiego rzut oka na dzieje Śląska, prof. dra J. Czekanowskiego o strukturze rasowej Śląska, L. Musioła o germanizacji nazw miejscowych polskich na Śląsku Opolskim, dra A. Wrzoska wiadomości z zakresu statystyki i geografii województwa śląskiego, dra W. Olszewicza o ekonomicznej strukturze województwa. śp. dra A. Szczepańskiego o eksporcie produkcji śląskiej, J. Piernikarczyka o udziale Anglii w powstaniu przemysłu na Śląsku, dra St. Komara o konwencji genewskiej. Nadto wydawnictwo to zawiera dział recencyj i sprawozdań z ostatnich wydawnictw polskich i niemieckich, dotyczących Śląska.

ALEKSANDER BIRKENMAJER: Astronomowie i astrologowie śląscy w wiekach średnich. Katowice 1937 r. Stron 40. Cena 1.20. (Seria Polski Śląsk nr. 33). Wydawnictwa Instytutu Śląskiego.

Nowa praca znakomitego badacza dziejów nauki prof. Birkenmajera przynosi nowe nieznane materiały do dziejów nauki na Śląsku. Autor omawia działalność naukową śląskich astronomów i astrologów w wiekach XIII, XIV i XV, podkreślając, że w wiekach średnich astronomia i astrologia były ze sobą ściśle związane. Wszyscy ci Ślązacy pozostawali w ścisłym kontakcie z Krakowem i ówczesną akademią jagiellońską. Praca zaopatrzona jest w obszerne przepisy naukowe i stanowi cenny dorobek naszej nauki o Śląsku.

ALEKSANDER GROZA: Zagadnienie elektryfikacji na Śląsku. Z 21 rycinami. Katowice 1937 r. Stron 66. Cena zł. 2,50 (Seria: Zagadnienia Gospodarcze Śląska nr. 11). Wydawnictwa Instytutu Śląsk. Do nabycia w księgarniach.

Publikacja niniejsza omawia wszechstronnie zagadnienie elektryfikacyjne na Śląsku. We wstępnym rozdziale autor przedstawia ogólne problemy elektryfikacyjne, po czym przedstawia stosunki elektryfikacyjne na Śląsku oraz porównuje z elektryfikacją reszty Polski. Wreszcie autor omawia zagadnienia organizacyjne i prawne przemysłu elektryfikacyjnego, poświęcając specjalną uwagę taryfom, widokom zwiększenia zbytu energii elektryfikacyjnej i ustawie elektryfikacyjnej. Praca zaopatrzona jest w liczne ilustracje, tabele, wykresy i mapy, stanowiąc jedyną w polskiej dotychczasowej literaturze monografię, poświęconą omówieniu problemu elektryfikacyjnego w Polsce.

Komunikat Redakcji

Redakcja komunikuje, że „Kuźnicą" kieruje komitet redakcyjny, który ukonstytuował się następująco:

Paweł Musioł
Alojzy Targ
Emil Słomka
Wilhelm Szewczyk.

Nowe książki

MARIAN KUBICKI: „PIEŚNI BOSE" POEZJE. WARSZAWA — 1937.

A jednak tęsknota za wsią w dalekim gwarnym mieście może być ogromna. Powiedział nam to młody jeszcze poeta ale twardo już stojący na własnym, poetyckim gruncie. Taki wiersz jak „Odszedłem", aczkolwiek zdradza pewną znajomość nowych prądów poetyckich (nieszczęśliwa peperowska metafora „mutry oczu"), jest śpiewem prostego, dziewiczego w swej wiejskości serca. Najsilniej do nas przemawia wiersz „Wrócić..", w którym bolesne wspomnienie dalekiej, pachnącej wsi przyprowadza autora niemal do szaleństwa. Ukochanie ziemi wyziera z każdego prawie słowa. Oto piękne zakończenie „Wiosennej orki":

„Obłok zawadził o młode żyto wiosenne.
Wiatr czesząc zielone piórka przegania.
— Przyjmie mnie kiedyś siostrzanym uściskiem ta bruzda,
wessie nawozem na wieczne swe posiadanie —
ziemia!"

Autor znając poezję współczesną nie mógł nie ulec Jesieninowi, którego poezja uniosła radosne brzemię takiej samej szarej wsi w świat. Jesieninem i jego harmonią tętni „Niepotrzebne wspomnienie" a całkiem już wyraźnie „Elegia o harmonii" „Źrebięca młodość" jest jak lekki, słoneczny wicher. Tarmosi szumiące liście, napędza do głowy winem radości ale nie odurza, nie rozpija — jest wierszem, którym żył Kubicki w młodości.

Kubicki tęskni za wsią dawną, rozśpiewaną w niedzielne popołudnia. Ale na pewno wie, że dzisiaj na wsi jest inaczej. Wie napewno, skoro pragnie zmian. Niestety z tym pragnieniem poszedł na lewo — aby uwielbiać harmonię — „arkę przymierza czerwonej ulicy". A szkoda. Kubicki ma wszelkie dane po temu, aby zostać poetą narodowym; w jego odczuwaniu wsi jest doskonały materiał na poezję narodową, wypaczony niestety przez program, który weń wmówili inni.

Wiemy, że na wsi jest źle, że synom chłopskim w mieście jest gorzej niż na obczyźnie, że nawet poniższy wiersz (słaby ale wymowny) jest szczery, przeraźliwie szczery:

„Myślisz —
płomienne, w których miłość śpi
róże przyniosę?
We mnie jest boleść cicha,
gdy spieczoną wargą dotknę wyniosłości Twych chłodnych dłoni.
Głodny jestem
. . . .
głodny jestem ujrzenia Ciebie!
Przebacz —
Zamiast róży kupiłem pół bochenka chleba!"

Ale poco odrazu szukać lekarstwa gdzieindziej? Kubicki jest młody. Jest jednym z najzdolniejszych współczesnych poetów polskich. Wiemy, że element narodowy w jego poezji przeważy. Musi przeważyć, bo takie jest prawo piękna i prawdy. sz.

MARIA WARDASÓWNA: „MARYŚKA ZE ŚLĄSKA", POWIEŚĆ LOTNICZA Z PRZEDMOWĄ GUSTAWA MORCINKA, WARSZAWA, 1937.

Z zaciekawieniem bierze się do ręki tę książkę nieznanej na Śląsku, choć podobno nie debiutującej już pisarki. Zaciekawienie to uzasadnia serdeczna i niemal entuzjastyczna przedmowa Gustawa Morcinka. Gotujemy się już witać nowy talent literacki ze Śląska, tym bardziej, że zaczęto o nim już wiele opowiadać i budować na nim pewne nadzieje. Ale srogie spotkać musi rozczarowanie każdego, kto pokusi się na przeczytanie tej śląskiej powieści lotniczej. Pod względem literackim książka ta jest niewątpliwie płodem grafomanii, dla której trudno zachować jakieś względy, które sugeruje przedmówca stopniem wykształcenia i entuzjazmem autorki. Wardasówna pozbawiona jest zupełnie zmysłu widzenia rzeczywistości i zdolności jej przetworzenia na dzieło literackie. Wszystko jest u niej wymaginowane a chociaż tworzywem są tu częściowo własne przeżycia, przekształciła je w sposób odbierający im wszelką plastykę, barwę i prawdę. Postacie, sytuacje, krajobrazy, — wszystko to nie nosi ani śladu głębszego przeżycia. Całość prezentuje się jako nieudolne opowiadanie w stylu „jak sobie mały Jaś szybownictwo wyobraża".

Jeśli książkę tę weźmie do ręki ktoś, kto się choć trochę szybownictwem, czyli lotnictwem bezsilnikowym interesuje, czytać ją będzie na przemian z wybuchami śmiechu i szewskiej pasji. Podziwiać należy tupet autorki, że w dobie tak wspaniałego rozkwitu szybownictwa i tak dużej jego popularności w Polsce odważyła się oddać do druku tak fantastyczną bujdę, budzącą podziw bezgraniczną ignorancją. Jeśli przeznacza się ją dla młodzieży to należy się domagać kategorycznie niedopuszczenia do tego, by książka dostała się do rąk młodych czytelników. Jest bowiem dla niej lekturą z gruntu szkodliwą i za przestępstwo należałoby uważać rozniecanie tymi metodami, które Wardasówna stosuje, zapału do szybownictwa.

Na szczęście dziś na Śląsku moglibyśmy pokazać niefortunnej autorce kilkutysięczny legion kilkunastoletnich chłopców, którzy tarzaliby się ze śmiechu, czytając rewelacje o szybownictwie p. Wardasówny. Reasumując to wszystko, wspominając humorystyczne wyczyny i przygody Maryśki ze Śląska, pożegnać musimy wszelkie nadzieje na nowej pisarce śląskiej budowane. I należy to uczynić z lekkim sercem Żaden zaszczyt nas przez to nie ominie. L. im.

NOTATKI LITERACKIE.

Wieczory literackie zespołu „Kuźnicy"

Zespół literacki „Kuźnicy" przystępuje w najbliższym czasie do organizowania stałych wieczorów literackich, które początkowo odbywać się będą co miesiąc. Na wieczorach tych występować będą literaci zarówno ze Śląska jak i z poza Śląska. Przede wszystkim mają one na celu zapoznanie interesującej się zagadnieniami literackimi publiczności z twórczością pisarzy najmłodszych, obok których wystąpią również pisarze starsi i znani. Na wieczorach literaci przemawiać będą sami a ponad to utwory ich wygłaszane będą przez wybitnych recytatorów, jak dr. Leopold Pobóg-Kielanowski, Władysław Pawłowski i inni.

Najbliższe wieczory poświęcone będą Edmundowi Osmańczykowi, Wilhelmowi Szewczykowi, I. A. Hanzlówniej, Kazimierzowi Forysiowi, Janowi Baranowiczowi, J. K. Zarembie. Na wieczorze grudniowym wystąpią Kazimierz Wierzyński i Włodzimierz Pietrzak.

W październiku wieczór literacki odbędzie się 13-go. Szczegóły zostaną opublikowane w komunikatach i afiszach.

Niewątpliwie wieczory te spotkają się z żywym zainteresowaniem i będą stanowiły dużą atrakcję w życiu kulturalnym Katowic.

NOWE TOMY POEZYJ ŚLĄSKICH.

Ostatnio ukazały się dwa tomy poezji śląskich: Edmunda Osmańczyka „Wolność jest słoneczna" i Pawła Kubisza „Przednówek". Omówieniem tych tomów zajmiemy się w najbliższym numerze. Tu warto zaznaczyć, że poezje Kubisza ukazały się jako pierwszy tom wydawnictw Śląskiego Związku Artystycznego w Czechosłowacji w bardzo starannej i pięknej szacie graficznej.

Fraszki

ZDZISŁAW PYZIK.

KLASYCZNA ROZMOWA.

Mówiłem: kocham!, mej lubej dziewczynie.
Usta skrzywiła: wciąż słyszę to samo.
Więc spróbowałem rzec to po łacinie
i bardzo czule szepnąłem jej: amo.
A u niej znowu niezadowolenie.
I to słyszałam już — powiada. Ergo,
żeby wyrazić się bardziej uczenie
wyskandowałem jej po grecku: stergo!
Znów krzywi usta i to jej nie nowość,
wszystko jej stare, wyblakłe, zbyt szare...
Czego chcesz? — pytam. Ona: poglądowo
ucz mnie znaczenia słóweczka: bassiare.[1]

[1]) — całować(łać.).

KOBIECIE

Pani I. L. poświęcam.

— — prędzej! prędzej!...

Patrzyłem z rozkoszą na ciebie,
gdyś ostrą piersią, prując gorące powietrze.
pędziła — o laur w walce — taśmę mety przebić.

Byle szybciej!... szybkością stary rekord zetrzeć.

Tłum wył, gdy białą metę minęłaś zwycięsko.

Tysiąc głów zazdrosnymi oczyma cię wierci.

Zwycięstwo! Lecz — na bieżni w tym szalonym pędzie,

kobieto — gdzie podziałaś swe kobiece serce?

Z LISTÓW DO REDAKCJI.

NA ŚLĄSKU DOPIERO OD 10 LAT MÓWIĄ PO POLSKU.

Szanowna Redakcjo!

Miło to dla Ślązaków, gdy gdzieś np. w dalekim Wilnie może przeczytać coś o Śląsku, napatrzeć się ilustracyj z „krainy brzóz i kominów". Więc nie dziw, że w takiej „małej i zacisznej kawiarence" wziąłem z prawdziwą radością do ręki sierpniowy nr. „Floty Polskiej", poświęcony Śląskowi z okazji 15-lecia przyłączenia tej ziemi do Macierzy. Powiadam z prawdziwą radością, jakkolwiek reklamują się tam swoimi „podobiznami" różni dygnitarze, pół- i ćwierć-dygnitarze (a nawet kandydaci na takich) śląscy; jakkolwiek ciągle natrafia się na tak zaczynające się zdania: „dzięki inicjatywie...", „pod energicznymi rządami np. p. prezydenta miasta Chorzowa..." i t. p. Czytam życiorys wojewody Grażyńskiego. Zakończenie wywołało we mnie uczucie gniewu, obrzydzenia i szewskiej pasji. Bo proszę posłuchać: **„Dzięki niestrudzonym wysiłkom, zabiegom dra Grażyńskiego stała się popularna polskość na Górnym Śląsku i to nie tylko w napisach na skrzyżowaniach ulic i dróg, na szyldach, w szkołach ale w całokształcie życia śląskiego. Język polski, którego dawniej prawie nie słyszano, stał się dziś na Śląsku powszechnym."** — Brr! Na temat Śląska napisano już wiele bzdurstw, ale przytoczone pobiło wszystkie rekordy. — Pamiętamy, jak wygłupiał się Ferdynand Goetel, pisarz skądinąd poważny. Nie dziwimy się przeto, że w Warszawie, Wilnie, czy nawet w Krakowie wśród przeciętnej publiczności panuje przekonanie, że na Śląsku mieszkają Niemcy; że tam tylko po niemiecku można się rozmówić, skoro tak poważne pismo jak „Flota Polska" głosi to urbi et orbi. Każdy z Ślązaków, rzucony w głąb Rzeczypospolitej, miał możność nasłuchać się moc takich opinij.

Na Boga! Tak przecież nie można fałszować oblicza narodowego najbardziej polskiej dzielnicy, dzielnicy, której gwara, szumiąca językiem Reja i Kochanowskiego, zachwycali się już w 19 stuleciu uczeni językoznawcy polscy.

Jak można było puścić takie brednie. Przypuszczam, że podobnie jak inne artykuły w tym nrze tak i ten życiorys napisano na Śląsku i że ktoś musiał to wszystko cenzurować. Nikt nie chce pomniejszać zasług tych czy innych ludzi, ale takiego pochlebstwa i kłamstwa to by nawet Neron nie połknął. Sądzę, że i wojewoda Grażyński nie połknie, przeciwnie wyszuka autora tego artykuliku i redaktora tego śląskiego nru „Floty Polskiej" i obu wyleje na zbity łeb ze Śląska. **I za to, że dają niemieckiej publicystyce broń** do ręki i za uwłaszczanie ludowi śląskiemu i przede wszystkim za ordynarne wazeliniarstwo.

Kocham gorąco Śląsk, ale nie cierpię tej wazeliny, której tam więcej niż węgla.

Wilno, wrzesień 1937.

Z wyrazami prawdziwego szacunku

Jan z Chorzowa.

Hutnik

Świeżo opublikowany zeszyt 9. „Hutnika" zawiera następujące artykuły oryginalne:

W dziale technicznym:

J. Pochwalski: — Namiastki metali w świetle samowystarczalności.

K. Palion: — Metalurgia kierowana w zastanowieniu do stali węglowych.

J. Obrębski: — Izotermiczne zmiękczanie w świetle badań rozszerzalności i właściwości mechanicznych.

W dziale gospodarczym:

J. Ignaszewski: — Przemiany strukturalne w hutnictwie żelaznym.

Całości zeszytu dopełniają: listy do redakcji, przegląd wydawnictw, sprawozdanie z działalności hut żelaznych w lipcu r. 1937, statystyka hutnicza, kronika oraz nowe wydawnictwa.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: KATOWICE, UL. DĄBROWSKIEGO NR. 4. — TELEFON NR. 353-96 — KONTO P. K. O. NR. 304.581.

Abonament: rocznie 5,— zł, półrocznie 3,— zł, kwartalnie 1,50 zł. — Numer pojedyńczy 0,30 zł

Ceny ogłoszeń: 1/1 strona 500,— zł, ½ strony 250,— zł, 1/4 strony 120,— zł, 1/8 strony 60,— zł, 1/10 strony 15,— zł. — Drobne ogłoszenia 25 gr. za słowo.

Przyjmuje się tylko ogłoszenia firm polskich i chrześcijańskich

Wydawca: Komitet Red. „Kuźnicy". Red. odpow.: Wilhelm Szewczyk. — Druk: „Drukarnia Narodowa" Chorzów I, ul. Krzywa 14, telefon 406-62.